

Frywolne łże-elity. O pewnym oczywistym przypadku

4 stycznia 2025

Kiedyś w jednym tekście poświęconego sprawom akademii wspomniałem jednego człowieka. To był bowiem typowy obłudny i frywolny akademik. Posłużyłem się nim tylko i wyłącznie jako przykładem na pewne zachowania. Nie mniej on jednak mówi sporo o naszych elitkach oraz ich frywolności.

Rzeczony człowiek ma podobnie jak Michnik czy Kuroń korzenie dość jasne. Jest on potomkiem bananowej młodzieży warszawskiej, a także wywodzi się z utrwalaczy władzy ludowej. Zarówno jego dziadek i ojciec trudnili się tym zadaniem. Stąd można zadać pytanie proste: a jak to się stało, że w ogóle go na swojej drodze spotkałem. Dlaczego ów jegomość nie poszedł wzorem innych czerwonych bachorów na Harvard czy na Oxcam? A nawet czego nie emigrował już do szkoły średniej na Zachód? Przecież to było możliwe i dla niego jak najbardziej finansowo osiągalne, przecież mógł zapłacić za dobrą szkołę prywatną w USA, w Wielkiej Brytanii czy Szwajcarii. Czasem szukam na to pytanie odpowiedzi, nasuwa mnie się jedna, wynikająca z obserwacji zbliżonych jednostek w szkole średniej. Po prostu nie mógłby dostawać ocen za tatusia i za dziadka, a pracowity nigdy nie był. W dodatku tam na Zachodzie to nie ma jak na głupich komediach typu American Pie, że wszyscy się parzą i kopulują w dowolnych konfiguracjach. Tam to wszyscy – excuse le mot – zapierniczają, żeby tylko móc pójść na dobry uniwersytet i żeby ponieść jak najmniejsze opłaty. Zatem nie w głowie im figle damsko-męskie czy inne. A z opowieści tego człowieczka, wynikało, że zawsze leciały na niego dziewczyny. Poniekąd nie miał z tym problemu, ale głównie nie na niego. Tu chodziło o jego czerwony skarb, o pieniądze jego rodziców oraz włości zajmowane przez jego rodzinę jeszcze za komunę. Jak był dziany, to mógł już zaliczać puste panny w okresie szkoły średniej. Zatem nie musiał w liceum nic robić, mógł tylko

balować. I jakoś na tamtym etapie z nudów musiał się zainteresować sprawami nauki. Bo jednak taki bananowy – nie bójmy się użyć tego słowa – gówniarz, to raczej będzie myślał, jak pójść na prawo, medycynę czy SGH, a nie na taki prząśny kierunek dla nieudaczników. Nie mogę powiedzieć, że kiedy go spotkałem pierwszy raz, to że nie zrobił na mnie dobrego wrażenia. No jak na takiego zupełnie świeżego człowieka to wiedzę miał, i to całkiem niezłą. Skoro był w stanie masę kopalnych zwierząt wymienić, interesowały go grupy nietypowe, zaczynał zadawać sobie ciekawsze pytania, to znaczy, że był niezły.

Wychowanie i pewne cechy osobowościowe dały szybko o sobie znać. Kiedy robiliśmy konferencję, mogliśmy przepchnąć jego referat. A ten się bał, że dostanie baty na sesji plenarnej. Nawet nie widziałem, żeby za bardzo chciał polemizować. Później powstał projekt większej ekspedycji. Oczywiście, zaraz poparł. Nie mniej zauważalne było, że jemu się na Instytucie Zoologicznym nie podoba. Termin jego ważności skończył się, kiedy przestraszył się konieczności walki i pracy na Zoologii. Zatem rzucił zoologię (mowa tutaj o dziedzinie nauk o życiu), no i pobiegł na Botanikę. Tam dla odmiany zajął się nudną rodziną przydrożnych chwastów, w dodatku u kompletnego intelektualnego impotent. Termin ważności tego osobnika minął również dawno temu. Tamten w dodatku bardzo rzadko przyjmował na magisterium czy doktorat mężczyzn, a jeżeli już to czynił, to byli to homoseksualiści. Koleżka jednak zastanawiał się nad eksperymentem, jakby to było zrobić z facetem, poza tym sam gadał, że jest panseksualny. Możliwe zatem, że wypinał odbyty; możliwe także, że czynił to nad Wkrą, gdzie ów profesorek od chwastów spotykał się na nagich kąpielach i kopulacji w krzakach. O tych ostatnich po zielonej budzie na Miecznikowa chodziły plotki, niewielu zadawało sobie pytanie, jak dalece one były prawdziwe. Sam słyszałem co najmniej cztery razy o zbliżonych zajściach, włączając w to tamtego kolegę, że się dobrze bawił.

Później udało się zrobić wyprawę na Ochrydę. Normalny człowiek myśli, jak pójść dalej. W głowie mi były już pomysły ekspedycji na Islandię oraz zrealizowanie projektu w kraju w warunkach zimowych. Po powrocie z obozu naukowego w Złotym Potoku, gdzie pracowałem jako kadrowiec, wziąłem się za analizę materiału i odwiedzanie znajomych mieszkających w ciekawszych i interesujących mnie sceneriach. Z jednym znajomym objeździliśmy całkiem spory kawałek Beskidu; ot, taki przykład. Sam się wyprawiałem jeszcze w Karkonosze. Co do Islandii to nie miałem takich szczegółowych planów, liczyłem na owocną dyskusję z rzeczonym kolegą. A z tego, jak to z typowego czerwonego, wyszła podstawowa cecha. Lenistwo i wygodnictwo. Jemu się już nic nie chciało i tylko kombinował jak nadskakiwać promotorowi-homosiowi. Jeszcze wręcz onanizował się tymi nudnymi, polnymi chwastami. Po prostu nie chciał.

– Mogliśmy zajmować się takimi zwierzętami jak *Limnognathia maerski* – powiedziałem mu – a ty wybrałeś nudną rodziną chwastów u intelektualnego impotent.

Tamten nic mi nie odpowiedział. Podobnie też sprzeciwił się ukaraniu malwersantów, co sprzeniewierzyli trzydzieści tysięcy złotych. Zamarzyła mu się polityka miłości. Sam nie chciał być pieniaczem. Tylko że on mógłby się wypróżnić na hallu wydziału i tak nic by mu się nie stało. I tak zostałby przyjęty na doktorat. Ze względu na tatusia i dziadzię, utrwalaczy władzy ludowej. Óniwersytet Jełopów nie mógłby mu tego zrobić. Przecież po 1945 zawsze taka czerwona warszawska młodzież bananowa musiała być nobilitowana. Sam nie miałem szczęścia udać się na doktorat, w przeciwieństwie do wyżej wymienionego.

Oczywiście, zajął się on zupełnymi bzdetami. Nie jestem może botanikiem, ale temat jego doktoratu był wtórny i nadawał się w zasadzie do kosza. Robienie ewolucji kwiatu tych chwastów. A co tam nowego można powiedzieć? Przecież u roślin pokroje ciała, pędów i łodyg są bardzo konserwatywne, bo one mają taki sam zestaw hormonów roślinnych i takie same mechanizmy. Zatem

nad czym się rozwijać. Jeżeli chciałby robić ewolucję kwiatu, to wzięłby się na przykład za kwiatostan trawy czy turzycy, a jak on z takiego kwiatka jak lilia wyewoluował. To byłaby rzecz, a nie męczenie tej jego rodziny chwastów, w kółko te barszcze, trybule, dzięgiele i marchewki, których nawet dobrze nie umiał rozpoznawać. Sam byłem świadkiem sceny, kiedy miał problem z odróżnieniem *Angelica silvestris* od *Anthriscis vulgaris*, co dziecko mające przewodnik do podstawowej flory krajowej poradziłoby sobie z tym zadaniem. Również część jego współpracowników wyrażała się o nim krytycznie jako o osobie, która nie zna i nie rozumie stosowanych przez siebie metod.

Oczywiście doktorat zrobił. Jeszcze miałem okazję się osłuchać, czego on się nie wycierpiał od swojego promotora. Co to wolne żarty. No nie wiem, co taki bananek warszawski mógł wycierpieć, że zwrócono mu uwagę na złą interpunkcję w dysertacji doktorskiej; a może popełnił błąd ortograficzny. I tak mu źle było. Moja odpowiedź może być prosta. To nikt ci nie kazał. Po prostu nie dość, że okazałeś się pospolitym szachrajem i tchórzem, to jeszcze jęczysz. A poszedłeś po najmniejszej linii oporu, przyszedłeś na gotowe.

I takie to mamy elitki. Jeszcze jak się zobaczy tego człowieka. To wszędzie tatuaże, jakby dopiero co wyszedł z kryminału. Kołczyk w nosie, jak jakiś homoś i/lub osoba z zaburzeniem borderline. Poza tym niski gust tego człowieka, który nic nie czyta, a jego gust muzyczny. Przecież nawet na standard tak niskiego typu muzyki jak polski rap, słucha najgorszego możliwego ścieku. W dodatku jeszcze wszyscy go rozgrzeszają, że gust ma ironiczny. Z doświadczenia wiem, że takie stwierdzenia to brednie. Każdy, komu się podoba taki szajs, a wie, że w pewnych towarzystwach nie wypada się przyznawać, będzie twierdził, że słucha tego dla beki. W dodatku twierdzą, że ów człowiek to przez te wszystkie lata studiów czy doktoratu, to tylko zgłupiał. Poza tym skoro ma czas zajmować się takimi bzdetami, to ma w tej akademii dużo czasu. Normalnie to nie ma się czasu na takie dyrdymały, cały

czas się czuje na plecach oddech konkurencji. A niejednokrotnie jest się tak zawałonym pracą, że ciężko nawet o pewnych rzeczach pomyśleć. Tutaj natomiast mamy jakąś formę Übermensch. Czerwony nadczłowiek, hiperrobociarz (jak w dramacie Szewcy Witkacego). Taki, co się ciągle spóźnia, nic nigdy nie robi w terminie, przychodzi i gada farmazony, takiego, co ciągle rozgrzeszają jego koledzy. A kiedy na niego popatrzyli moi znajomi z Krakowa, to uznali, że to pospolite paluntunio. I mieli rację. Kiedyś Korwin-Mikke wspominał, że do nauki szli tacy, co nie chcieli do ciesiołki i frezerki. Kiedy widzi się takiego człowieka jak tutaj omawiany okaz, chce się aż wykrzyczeć: panie Mikke, pan masz sto procent racji!

I to jest przypadek takich łże-elit, czerwonego uszlachconego pospólstwa, które ledwo odeszło od pług. Teraz pomyślmy sobie, że wszyscy na dolce vita takiego człowieka płacimy podatki, wcale nie małe. Państwo z nas zdziera, aby takie czerwone Bobo sobie bałowało za nasze pieniądze. A jeszcze teraz nie musimy sobie wyobrażać. Wystarczy tego człowieka posłuchać. On nami wszystkimi gardzi, pluje na nas z wysokości akademickiego stolca. Ma nas za ludzi gorzej wykształconych. Ten człowiek, który nie przepracował uczciwie jednego dnia w swoim życiu, uważa nas za ludzi leniwych. A kiedy upominamy się o swoje prawa, bo uważamy, że państwo sobie z nas kpi, ten kawiorowy socjalista uważa, że jesteśmy roszczeniowi?

I zadać należy pytanie. Czy mamy dalej pozwalać się takimi czerwonym Bobo skubać? Czy mamy dalej pozwalać, aby takie zniewieściałe i infantylne jednostki lżyły nas? I to pluły na nas na wiele sposobów, od wyzwisk od „katoli” (choć nie wszyscy jesteśmy ludźmi wierzącymi i praktykującymi) po robienie z nas idiotów i paranoików? Czy mamy pozwalać, aby takie zidiociałe jednostki nas pouczały i wygrażały nam paluszkami?

Odpowiedź brzmi wprost. NIE! Trzeba skończyć z takimi czerwonymi Bobo, no i raz na zawsze pogonić obcy, narzucony

nam przez Armię Czerwoną reżim w pamiętnym roku 1944. Po prostu tych frywolnych łże-elit (pozwolę sobie użyć określenia Waldemara Łysiaka) należy się zwyczajnie pozbyć, zepchnąć je tam, gdzie ich miejsce. Jak kiedyś sugerowałem, należy te kompradorskie elitki wywłasczyć. Tylko, czy nasz biedny naród ma odwagę ich pogonić? – to jest sprawa inna. Te frywolne łże-elity same nie odpuszczają. One bowiem są jak grzyb pasożytniczy. Dotąd będą niszczyć państwo, społeczeństwo i naród, dopóki one się nie rozlecą.

Na zakończenie. Kiedyś profesor Wielomski oburzony był za stwierdzenie „profesorowie do łopaty”. Wypadałoby, żeby czasem wyszedł ze swojej pracowni i przyjrzał się światu. Czy takie czerwone Bobo, taka frywolna łajza, oraz jego promotor, nie powinni być zagonieni do łopaty? Przecież z tego wszyscy mielibyśmy tylko więcej pożytku. No i czy profesor Wielomski takie czerwone Bobo uznałby za przejaw naturalnych „elit”. Może również pan profesor zweryfikowałby swoje stwierdzenia na temat politycznego antykomunizmu. Ten nie jest bowiem w żadnym wypadku martwy, ponieważ mamy kompradorskie elity o wiadomym rodowodzie. Jeżeli nie zniszczymy tego grzyba, to on zniszczy nas?

Autorstwo: Erno

Źródło: WolneMedia.net